

Zbigniew DĄBROWA

Wraz z drużyną harcerską walczyłem we wrześniu 1939 r. z Niemcami jako ochotnik. W kotle kutnowskim konwojowaliśmy rannych żołnierzy. Dowódca konwoju, nie mogąc przebić się do Warszawy, poddał rannych i nas do niewoli. Uciekłem z kolumny jenieckiej wraz z kolegą z klasy, Zbigniewem Majewskim, w drodze do obozu pod Sochaczewem. W październiku dotarliśmy do Poznania i natychmiast po powrocie zaczęliśmy działalność konspiracyjną w tworzącej się tajnej organizacji wojskowej. Wspólnie z Olem Przyłuckim zorganizowaliśmy w ramach tej organizacji - Wojska Ochotniczego Ziemi Zachodnich - grupę młodzieżową, składającą się z kilkudziesięciu byłych gimnazjalistów i harcerzy, naszych kolegów z poznańskiego prywatnego gimnazjum im. A. Mickiewicza. Na nasze żądanie sztab WOZZ, kierowany przez zawodowego oficera, pułkownika Kmotka i jego adiutanta, a naszego kolegę z gimnazjum, Olka Kubskiego, zgodził się, byśmy tworzyli system trójkowy i dziesiętny, podając do Sztabu wyłącznie pseudonimy. Uchroniło to większość młodych od aresztowania.

Olka i mnie oraz kilku naszych kolegów wraz z ponad 280 starszymi członkami WOZZ aresztowało Gestapo w czerwcu 1940 r. Osadzono nas w Forcie VII i dowożono na przesłuchania do siedziby Gestapo przy ul. Ratajczaka w Poznaniu. Dzięki bohaterskiej postawie w czasie męczarni w śledztwie, a także dzięki systemowi trójkowemu, dalszych aresztowań wśród młodzieży nie było.

Śledztwo trwało dwa lata. Z Fortu VII przewieziono nas do więzienia we Wronkach, potem do Berlina, a wreszcie do Zwickau. Rozprawy rozpoczęły się w czerwcu 1942 r. i trwały do grudnia. Zostaliśmy oskarżeni o „Hochverrat” - zamiar oderwania „Warthegau” od Rzeszy Niemieckiej, szpiegostwo, sabotaże, radio, gazetki itd. Mnie i Olkowi groziła kara śmierci, jak zresztą większości aresztowanych członków WOZZ. Oberlandesgericht w Poznaniu wydał 48 wyroków śmierci wykonanych natychmiast, pozostali więźniowie skazani zostali na wieloletni pobyt w obozach karnych (Dachau, Mauthausen). Nieliczni tylko przeżyli. Olo został ścięty elektryczną gilotyną 19 listopada 1942 r., mnie udało się uciec z więzienia w Zwickau 4 w dniu 15 sierpnia tego roku.

W Krakowie pod przybranym nazwiskiem wstąpiłem do AK (Kedyw krakowski). Potem

walczyłem w partyzanckim oddziale Grom i w Baonie Samodzielny Skała. W czasie bitwy pod Sadkami (woj. kieleckie) w sierpniu '44 zostałem ciężko ranny (przestrzał kręgosłupa).

Przedstawiłem tło wydarzenia, które związało mnie z Ars Regia. Jest to, jak sądzę, unikalne zdarzenie w historii Masonerii Polskiej.

Otóż zarówno Olo, jak i ja byliśmy więźniami w pojedynczych celach, by uniemożliwić jakiegokolwiek kontakty. Dopiero w berlińskim więzieniu w Neukoln umieszczono w mojej celi kolegę z gimnazjum, Mariana G. Było to wyjątkowe więzienie. Nieduże, mieściło tylko połowę członków naszej organizacji. Jak się potem okazało, poprzednio przebywali w nim młodociani niemieccy przestępcy. Starszy dozorca i naczelnik więzienia, również starszy pan (członek NSDAP), traktowali nas po ludzku, co przynajmniej po Forcie VII i męczarniach stosowanych przez Gestapo było dla nas ogromną, niezrozumiałą niespodzianką - tym większą, że z dworca prowadzono nas (ponad 100 więźniów) ulicami Berlina, skutych, jako „polskich bandytów”.

Codziennie rano wyprowadzano nas na dziedziniec więzienny i spacer trwał 20 minut. Szliśmy jeden za drugim w odstępach metrowych, ale po pewnym czasie weszło w zwyczaj, iż gdy wachmeister był odwrócony, zamienialiśmy się z sąsiadami, by móc porozumieć się.

Otóż w drugim tygodniu pobytu stanął za mną Zygfryd Kowalkowski, redaktor jednej z bydgoskich gazet, członek naszego Sztabu i, jak się okazało, zarazem członek jednej z przedwojennych łóż masońskich. Zaproponował wprowadzenie mnie jako ucznia do loży, która powstała w tym więzieniu. Taką samą propozycję otrzymał mój współtowarzysz z celi, Marian.

Nasza znajomość masonerii opierała się na wiadomościach krążących wśród młodzieży, ale zarówno Marian jak i ja interesowaliśmy się wcześniej jej działalnością i ideami. Na ile w owych czasach było to możliwe, wiedzieliśmy dużo więcej od naszych rówieśników o zasadach tej elitarnej organizacji. Z wieści tych wynikało, iż tylko nielicznym osobom, i to tylko tym, które wybijają się ponad przeciętność oraz wykazują dojrzałość i świadomość wagi przynależenia, składana jest taka propozycja. Po powrocie do celi przekazaliśmy sobie wszystko, co wiedzieliśmy o masonerii, i postanowiliśmy wyrazić zgodę.

Okazało się, że przed inicjacją musimy poddać się różnego rodzaju próbom. Otrzymywaliśmy od Kowalkowskiego rozmaite polecenia: czasami podawano je nam nawet przez kalifaktorów.

Dotyczyły one na początku zwykłych spraw, jak wyrabianie woli, np. budzenie się co pewien czas, wykonywanie różnych ćwiczeń gimnastycznych, przejście w celi tysiąca kroków itp.

Potem Kowalkowski polecił mi napisanie kilku nowel w oparciu o przesłaną mi źródłową książkę „Ekkehardt” (miałem już debiut za sobą, drukowaną nowelę w wydawnictwie szkolnym). Marian otrzymał polecenie nauczenia się języka włoskiego i także otrzymał od naszego mistrza stosowny podręcznik.

Rozpoczęliśmy też systematyczne ćwiczenia telepatii. Początkowo, trzymając się za ręce, potem przekazując myśli z oddalenia na jakie pozwalała długość celi. Po pewnym czasie udało nam się odtworzyć bezbłędnie i nazwać przedmioty, o których myślał „nadawca”. Zresztą ponad roczny pobyt w pojedynce i - nazwijmy to - asceza, posunięta w pewnym okresie do skrajnego wyczerpania fizycznego, wyzwoliła zdolność przenoszenia się poza więzienną celę. W takim stanie widziałem i fizycznie czułem, że dotykam np. drzewo, liście na nim, trawę, kwiaty. Czułem także zapach tych kwiatów, a jeden z mych kolegów, Leszek P. nawet grał w piłkę nożną. Wreszcie po dwóch miesiącach Kowalkowski odebrał od nas przysięgę. Przekazał znak rozpoznawczy i rozpoczął wprowadzać nas w ideały przyświecające Sztuce Królewskiej.

Kontakt z Kowalkowskim został przerwany w kwietniu '42, gdyż wywieziono Mariana oraz kilkunastu współwięźniów do więzienia w Zwickau. W końcu czerwca miałem od niego jedną, najistotniejszą dla mnie wiadomość. Współwięzień przebywający z nami w jednej celi przekazał przesłanie Kowalkowskiego, który informował, że rozpoczęły się rozprawy w sądach, kończące się wyrokami śmierci wykonywanymi natychmiast; mnie również grozi taki właśnie wyrok, powinienem więc podjąć próbę ucieczki. Zgodnie z przesłaniem, rozpocząłem przygotowania i w dniu 15 sierpnia rzeczywiście uciekłem z więzienia. Kowalkowski został skazany na śmierć. Wyrok zapadł 3 września 1942 r. i został wykonany.

Później wielokrotnie próbowałem nawiązać kontakt z masonami, posługując się przekazanym nam przez Kowalkowskiego znakiem. Próby te jednak nie dały rezultatów. Nawet znany mi mason, pan Karol Steinbek, nie zareagował. Osądziłem więc, iż była to ze strony Kowalkowskiego działalność mająca na celu utrzymanie nas w tężyźnie psychicznej i fizycznej, niedopuszczenie do załamania się i godne przyjęcie wyroku śmierci.

A jednak, gdy wraz z narzeczoną postanowiliśmy w marcu 1945 r. wziąć ślub kościelny, musiała matka mojej narzeczonej uzyskać na to zgodę aż ze strony biskupa krakowskiego, kardynała Sapięhy! Moją więzienną inicjację masońską w Kościele potraktowano niezwykle serio...

MASONI w hitlerowskim więzieniu - wspomnienia

Wpisany przez Brat Bruno

Piątek, 21 Maj 2021 07:15 - Zmieniony Czwartek, 11 Marzec 2021 08:28

Opracował: Brat Bruno – Monaco